Halina Horzela – wspomnienia, które zostały spisane przez W. Krawczyka w Suszce, dnia 11 września 2020r.

Proszę opowiedzieć o swojej rodzinie i o dzieciństwie.

Wychowywałam się we Włocławku a później na Pomorzu niedaleko Koszalina. Dzieciństwo moje było pogodne i beztroskie. Z bratem jeździliśmy zimą na łyżwach, latem konno. Hitem było boisko do siatkówki, udało się zmontować drużynę i graliśmy każdego dnia.

Mój tata był inżynierem rolnikiem. W 50 latach dostał nakaz do służby wojskowej. W tamtych czasach, nie można było łatwo wyjść z wojska, został oddelegowany do Włocławka. Kochał każdą roślinkę, zwierzaka, wiedział jak przewidzieć pogodę, znał się na gwiazdach. Moja mama była ciepłą, towarzyską osobą i prowadziła wspaniałą kuchnię.

/moja mama …/

/mój tata …/

Od dziecka obracałam się wśród myśliwych. Najważniejszym był Grzegorz Karczmarz – kresowy pradziadek z Trzcieńca. Dziadek Jan nauczył się od niego sztuki łowieckiej, a później przekazał tę pasję mojemu tacie. Dzięki nim poznałam wieku leśników i myśliwych wokół Włocławka. Pamiętam taką historię. Leśniczy Taraszkiewicz z Jedwabnego, wszedł do kuchni i zapytał: *Halusiu, ty wiesz jak się nazywam?* Wypaliłam bez wahania: *Gajowy Żydowski.* Wszyscy tak nie niego mówili, bo miał bałagan w lesie…

/Polowanie na kaczki . Od lewej: mama, ja, tata./

Włocławek, to wspomnienie rodzinnych polowań na Wiśle. Spływaliśmy kajakami z Dobrzynia n/Wisłą w dół rzeki. Były to polowania na kaczki. Tata płynął z wyżłem Lordem, ja z mamą. Kaczki żerowały na zastoiskach, można było blisko podpłynąć. Płynęliśmy aż do Włocławka. Potem jechałam autobusem do skupu dziczyzny. Nikt się nie dziwił widząc 11-latkę z 20-stoma kaczkami na trokach. Mieliśmy taki zwyczaj przed świętami, że była lista i tata zawsze dostarczał dziczyznę znajomym. Temu bażanta, temu zająca. Mój brat Wojtek, rozwoził to wszystko przed świętami autobusem.

Jakie Pani ma pierwsze wspomnienia z Rudawy?

Mieszkaliśmy w Bytowie, byłam na urlopie macierzyńskim. To był bardzo trudny czas. Mój syn Piotr wymagał rehabilitacji. Zraziłam się do Bytowa, szczególnie do szpitala, nie chciałam tu mieszkać. Mąż zaczął szukać nowego miejsca dla nas. Kochał łowiectwo i wędkarstwo muchowe. Zgrabnie to wszystko połączył. Spotkał swojego byłego adiunkta Leszka Wytrążka, który teraz był nadleśniczym. Ten powiedział: *Chodź do mnie*. Zwierzyny na Rudawie nie brakuje, pod nosem masz pełną lipieni Rudę i Brdę. Mąż pojechał. Dom nie miał schodów i podłóg. Wcześniej mieszkali tu leśniczowie: Kamiński, Gliniecki, Markiewka (dwa lata), Karasek, potem robotnicy sezonowi… Opuszczoną leśniczówkę miano rozebrać. Dyrektor Jerzy Groblewski z OZLP powiedział: *Są zdrowe mury, trzeba remontować.* Pieniek i patelnia mężowi wystarczały do zamieszkania. Sam zaczął remontować – stolarz z Borowego Młyna zrobił schody, z kolegami wędkarzami szlifowali i malowali świeżo położone podłogi.

Pamiętam jak dzisiaj swój pierwszy dzień w Rudawie. Szłam pieszo z Piotrusiem i z jamnikiem przy pasku. Po drodze spotkał nas leśniczy Manek Jankowski, który jechał z żoną. Zatrzymał się, powiedział: *A to Pani jest żoną Pana Henia?* Upchali nas do malucha i ruszyliśmy do Suszki. Po drodze zobaczył, że się pali las, wyrzucił wszystkich i pojechał gasić. Nie pamiętam jak dostałam się do domu…

Leśniczówka była piękna... Były zdrowe mury, nie było schodów, po drabinie wchodziliśmy na piętro, pamiętam fioletowe ściany w złote winogrona. Jak je pomalowaliśmy na biało, to ludzie mówili, że jesteśmy dziwakami. Dziadek Cyc zrobił półki na książki, potem mówił, że wygląda tam jak w piwnicy…, fakt książek zawsze mieliśmy dużo.

Taki żywy obraz, który widziałam z okna, pozostał mi do dzisiaj w pamięci: lis się wygrzewał w słońcu, w uprawie naprzeciwko leśniczówki, patrzył w moją stronę, ja patrzyłam na niego. Myślałam sobie: *Będzie dobrze*. Wszystko było takie nowe, a ja byłam młoda i pełna chęci do działania. Zaraz rozpoczęło się rykowisko, Piotruś mówi: *Mamo, co to za głosy słychać?* Mówię mu: *Byk ryczy*. Pamiętam jak dzisiaj odpowiedź dziecka: *Ja nie chcę żeby na nas ryczał!!!*

Umiałam jeździć autem, nie miałam prawa jazdy. Pewnego dnia Heniu umówił się ze mną na 15.00, że pojedziemy po zakupy. Wyszykowałam dzieci, czekaliśmy, przyjechał o 17 godz. W oczekiwaniu na tatę usnęliśmy na kanapie. Tego było za wiele, zapisałam się na kurs. Do domu czasami wracałam ciągnikiem lub LKT, bo tylko taki pojazd można było spotkać na naszej szosie. Zdałam egzamin i stałam się niezależna.

Jak wyglądała praca zawodowa?

Była struktura obrębowa, trzech nadleśniczych terenowych. W Przechlewie Andrzej Dorszyński pracował z Ewą Żak, na Niedźwiadach Lech Paczkowski z Marysią Naumowicz, na Rudawie ja z mężem. Dostałam angaż na Adiunkta Obrębu Rudawa. Ogarniałam wnioski gospodarcze, wypłaty i inne dokumenty siedząc w domu. Na początku było dobrze, potem zaczęło mnie to uwierać. Ciągnęło mnie do lasu. Mąż mówił, że od lasu jest on, że mam się zająć papierami i domem. Nie dostawałam premii, bo mąż twierdził, że wystarczy, że on dostaje.

Zlikwidowali nadleśniczych terenowych. Dostałam propozycję pracy w biurze nadleśnictwa. Pojechałam do nadleśniczego Wytrążka. Prosiłam: *Niech Pan wytłumaczy Heniowi, że bardzo chcę pracować w terenie, że w biurze się uduszę.* Nadleśniczy przyjechał do nas i mówi do męża: *Heniu wiesz co, będziemy tworzyć nowe leśnictwo Uroczysko i akurat by pasowało, żeby żona była leśniczym.* Męża wbiło w fotel, ale jako że nadleśniczy zaproponował, mąż się w końcu zgodził.

Trzeba było zorganizować robotników, działałam zdecydowanie: Kaczmarek, Babula, Stanisławski, Szostak, każdemu przedstawiłam ofertę i pytałam, czy chcą ze mną pracować. Stanowiliśmy bardzo zgrany zespół przez długie lata. Zaczęłam pracę w ciemno. Bez pojęcia. Pomagał mi zaprzyjaźniony leśniczy Olszewski z Kniei. Mówiłam: *Lucek jak będziesz miał odbiórkę, to zerknę jak to robisz*. Wywóz drewna, pisanie kwitów, wywóz kopalniaka wg średniej masy, wszystko u Lucjana. Tak samo życzliwie uczył mnie Włodek Frąckowski z Rudki.

/Terenowa narada gospodarcza/

Pamiętam jak w oddziale 326d leżał zrąb, niemiłosiernie padał deszcz, a trzeba było odebrać pilnie drewno. Moi pracownicy cali mokrzy biegali z taśmą i klupą, ja miałam przywiązany parasol do pasa i pisałam w brulionie ołówkiem.

Wspomnę moje pierwsze szacunki brakarskie. Poprosiłam męża, żebyśmy pojechali razem do lasu. Jak się pokłóciliśmy, to wracałam pieszo, mąż samochodem. Najlepsza rada męża: *Umiesz czytać? To przeczytaj.*

Pierwsze lata leśniczowania były ciekawe, nowe zadania, wyzwania. Nabierałam wyobrażenia o ludzkiej pracy, poznawałam pracochłonności. Satysfakcję przynosiła obserwacja drzewostanów, czy ciąć słabiej, czy mocniej. Były liczne kontrole – uczyły zahartowania w boju, przygotowywały do konfrontacji, jak ktoś z zewnątrz widzi moją pracę. Było wiele trzebieży zapóźnionych, inspektor Chlebosz powiedział, że jak ktoś ma ciemno w lesie, to ma ciemno w głowie. Bardzo wzięłam sobie do serca jego uwagi. Na siłę wszystko trzeba było uproduktywnić, teraz jest większa swoboda, można pozwolić trochę pogospodarować przyrodzie.

/Zakończenie odnowień/

W pracy najbardziej lubiłam wiosnę przygotowania do odnowień i same odnowienia. Również praca z ludźmi dawała mi wiele satysfakcji. Cieszyła mnie chęć i zapał do pracy młodych leśników. Pracowałam z podleśniczymi: Markiem Stanke, Jackiem Rudnikiem, Maćkiem Horałą, Maćkiem Frąckowskim, Grzesiem Babulą i Eweliną Cupą. W moim leśnictwie odbywali również praktyki stażyści i praktykanci. Pamiętam, że kiedyś podczas ścinania drzew na płachty wysiadłam z samochodu z podleśniczyną, stażystką i praktykantką. Jedzący śniadanie robotnik zrobił okrągłe ze zdziwienia oczy i orzekł: *Chyba świat się kończy*…

Pani Halino. Pozwolę sobie wtrącić swoje wspomnienie sprzed 20-stu lat. Jako stażysta, trzy dni pomagałem Pani w szacunkach brakarskich. Przez cały ten czas wytyczaliśmy w terenie granice zrębów. Wtedy nie było jeszcze GPS-ów. Przegoniła mnie Pani przez rzekę, po największych górkach w oddziale 323g,o (dzisiaj to już 17-letni młodnik…). Byłem pod wrażeniem, że można tak dokładnie i skrupulatnie wykonywać tę pracę. Przyznam, że byłem trochę fizycznie zmęczony, ale nie wypadało się skarżyć przy kobiecie… Jeszcze pamiętam, że chciała Pani sprawdzić, czy wysokościomierz dobrze działa. Zapytała się Pani, czy umiem ścinać drzewa. Nie skojarzyłem o co chodzi i przyznałem, że w technikum jeździłem na zawody drwali. Jakie było moje zaskoczenie, kiedy wyjęła Pani pilarkę i kazała mi ściąć dorodną sosnę. Ręce mi się trzęsły, ale drzewo w końcu się przewróciło…

Ze swoimi ludźmi pracowałam, aż do przetargów. Każdego ranka spotykaliśmy się, pamiętam jak mówili: *Oj szefowa będziemy robić to i tamto*. Bardzo dobrze się pracowało z tymi samymi robotnikami już w charakterze ZUL. Potem przegrali przetarg. Był to bardzo trudny i przykry moment dla nas wszystkich. Z nowymi ludźmi nie było już tak lekko... Trzy lata przed emeryturą miałam dosyć.

Jeszcze taki epizod, o którym dowiedziałam się po latach. Nadleśniczy Zbigniew Dyngosz z Osusznicy, przyjechał z propozycją żebym została inżynierem nadzoru. Mój mąż spotkał się z nim w cztery oczy i przekonał go, że to nie jest dobry pomysł… Zadecydował za mnie.

Pracowało się dobrze, dzieci chowały się zdrowo. Warunki nas nie rozpieszczały (zimna leśniczówka, niezbyt sprawny piec i mało kaloryferów) jednym słowem: mieliśmy tu zimny wychów. Praca była stabilna, ale zdarzały się wyjątkowo trudne dni. Pamiętam, jak podczas pracy w kancelarii obrębu, spędziłam całą noc na zestawianiu szacunków brakarskich. Na drugi dzień jechałam maluchem z Jasiem, młodszym synkiem do Sporysza, do leśnictwa Głuszec. Byłam zmęczona, przysnęłam. Samochód przekoziołkował, ocknęłam się po chwili, wyskoczyłam z samochodu. Jaś wyleciał przez szybę prawego okna i wylądował w wykopie… Akurat jechał Pragą kierowca z OTL-u, Pluto-

Pradzyński. Zgarnął nas z drogi do leśniczego Płaszczewskiego na Wiśnicę, ten zawiózł nas maluchem do szpitala w Człuchowie. Nic się nie stało, tylko rozcięty łuk brwiowy. Opaczność Boża nad nami czuwała.

Jak Pani rozwijała swoją pasję myśliwską?

Łowiectwo? Niewiele było polowania, więcej spotkań towarzyskich. Zaprzyjaźniliśmy się z małżeństwem Państwem Groblewskich, oboje byli myśliwymi. Żona z nieprzeciętnym błyskotliwym dowcipem. Oprócz nich w spotkaniach brał udział Leszek Paczkowski, ksiądz Gierszewski ze Sworów (hodowca posokowców), Stanisław Jachowski i Mieczysław Zygmunt. Ten ostatni był specyficznym myśliwym, który panicznie bał się samemu zostawać w lesie. Było dużo żartów. Jeszcze leśniczy Bronek Markiewka, ten był małomówny. Siadał pod klonem, siedział i nic nie mówił, przyjeżdżał pomilczeć w towarzystwie. Zdarzyły się tu jeszcze głuszce, kogut biegał do kurek Płaszczewskiego.

Jak zostałam leśniczym, to nadmiar obowiązków zawodowych i rodzinnych nie pozwolił na łowiectwo. Cały czas jestem zrzeszona w PZŁ, głównie z sentymentu do broni po dziadku i ojcu. Polowanie już mnie tak nie ciągnie, zwierzynę wolę obserwować. Szkoda mi byka na rykowisku, może jeszcze na dzika bym się wybrała...

Z moich obserwacji, powinniśmy zrezygnować z grodzeń i wstrzymać na jakiś czas odstrzał łan i cielaków. Obawiam się, że legendarne rykowiska na Rudawie pozostaną tylko we wspomnieniach. Byłam i jestem sympatykiem łowiectwa. Jak wspominałam wcześniej, mama polowała, tata i dziadek. Mama na ptactwo i zające. Na mamy imieniny zawsze były kuropatwy w śmietanie. Był wyżeł Lord, niezastąpiony…

Jak Pani dzisiaj wspomina pracę zawodową?

Po zachwycie przyszła rutyna, po 10 latach zaczęłam myśleć, żeby robić coś innego, inny las mi się marzył. Wszystko się stało zbyt przewidywalne. Marzyło mi się zamienić bory na lasy liściaste, inne warunki przyrodnicze, klimatyczne. Poświęciłam się jednak rodzinie, nie udało się zmienić miejsca. Zostało jak było.

Na emeryturze przez pierwsze kilka lat nie byłam w swoim lesie. W ubiegłym roku zadzwoniłam do sąsiada, żeby porozmawiać o nasiennym wyłączonym. Zaczynam patrzeć na uprawy i młodniki. Dobrze, że w oddziale 346g są bukowe gniazda, że w oddziale 347f rosną posadzone przeze mnie dęby...

Teraz cieszę się, że las jest piękny , że leśniczym jest Jacek Rudnik i że mój las ma się dobrze.